ROK TRZECI.

№ 14.

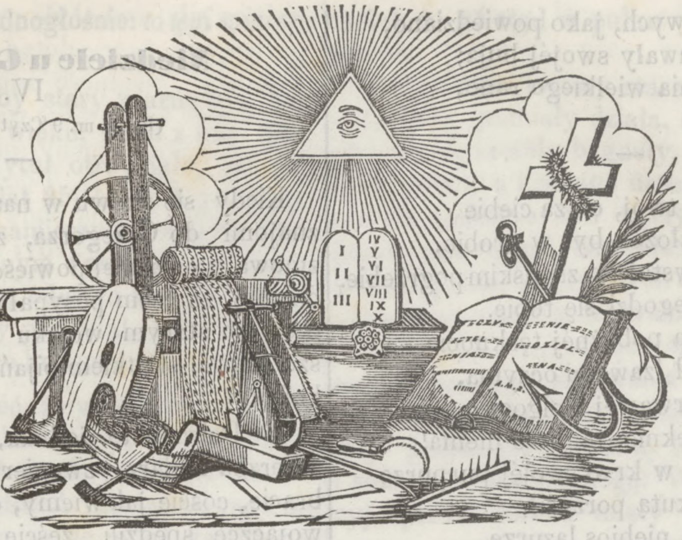
Warszawa

Dnia 23 marca
(4 kwietnia)

1858.

Niedziela

Zmartwychwstania Pańskiego.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, któryś dnia dzisiejszego przez Jednorodzonego Syna Twego śmierć zwyciężywszy, przystęp nam do szczęśliwej wieczności otworzył, racz żądania i modlitwy nasze, które uprzedzając, wlewasz, także pomocą Twoją dokonywać. (Kollekta na Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego).

Alleluja!

Śpi Jeruzalem—sen ciężki i głuchy
Zawisł nad miastem, jak całun żałoby;
I serca śpiących były jako groby,
W których jęczące pokutują duchy.
Śpi Jeruzalem—ale nad Golgotą
Błysnął z wysoka drżący promień świtu:
Pierzchają cienie, ciche tło błękitu
Zorzy się łuną rozpłomienia złotą.
I coraz jaśniej, ach! coraz weselej
Z niebios na ziemię zdrój światła się leje,
Aż na grobowiec spłynął anioł w bieli,
Dnieje...
Dnieje, w ognistéj korony purpurze
Dzień się podnosi jak zwycięzca świata;
Drży w krwawej łunie Gethsemanii wzgórze,
I mgła opadła w wąwóz Józefata.
A gdy nad falą jęczącą Cedronu
Z mrokiem się nocy złote łamie słońce,
Wiatr niby ranny westchnął od Syonu,
I trzy się cienie wysunęły drżące.

Trzy drżące cienie, galilejskie córy,
Trzy bolejące sieroty w żałobie,
Przez łomy głazów, przez tumanów chmury
Spieszą się uczcić leżącego w grobie.
Dwie z nich w wstydliwéj żałości swéj dumie
Spłakane lica ukryły w zasłonie,
I idą zwolna w bolesnéj zadumie,
I w drogich puszkach drogie niosą wonie.
Trzecia na przodzie nic nie wzięła z sobą,
Wiatrom płonące wydała oblicze,
Starganéj kosy okryta żałobą,
Zamiast balsamów łzy ma pokutnicze.
I kiedy tamte stroskane niebogi,
Pytają smutnie: któż nam głaz odwali?
Ona o skały białe krwawiąc nogi,
Miga się blada w złotych blasków fali.
I już dobiegła, wyciąga ramiona
Świętą miłością i boleścią drżąca;
Nagle jęk głuchy wyrwał się jéj z łona
I na mogiłę upadła płacząca.
— Niema Go! niema!... o grobie kamienny,
Gdzieżeś ty, woła, podział Pana mego?—
Wtem ku niéj anioł podniósł się promienny:
—Czemuż, rzekł, w grobie szukasz żyjącego?

Żywy wstał z martwych, jako powiedziano,
Na wysokościach chwały swojéj buja;
Stało się ludziom dnia wielkiego rano,
Alleluja!

—

Chrześcianinie! Bóg twój, co za ciebie
Umarł na krzyżu i złożon był w grobie,
Już z martwych powstał po ziemskim pogrzebie,
I tam Go szukać niegodzi się tobie.
Tak, próżno w serca pobożnéj tęsknocie
W ziemiębyś patrzył łzawemi oczyma,
Jak Magdalena na krwawéj Golgocie;
Anioł stróż Boży rzeknie: tam Go niema!
On w wieńcu cierni, w krwi swojéj purpurze
Mogiłę w głazie wykutą porzucił,
I stał się duchem na niebios lazurze,
A duch promieniem światła do nas wrócił.
W górę więc, w górę oczy wznieść ci trzeba,
Jeśli Go sercem pragniesz przyjąć czystem;
A On językiem światła płomienistym,
Na czoło twoje zstąpi prosto z nieba;
I odtąd w każdéj godzinie i dobie
Obecność Jego sercem twém przeczujesz;
Żywy i cały stać będzie przy tobie,
W każdym twym bliźnim Jego umiłujesz.
Jak do Emaus z uczniami smutnemi,
Pójdzie On z tobą gościńcem żywota,
A kiedy głowę pochylisz ku ziemi,
A piersi sroższa podniesie tęsknota,
On cię upomni: *O serce leniwe!* (1)
Zaliż cierpienia nie było potrzeba,
Ażeby Chrystus, słowo prawdy żywe,
Jako zwycięzca wszedł do chwały nieba?
A jeśli zwątpisz w ciężkiéj życia toni,
Jeśli się sercem zachwiejesz niewiernie,
Jak Tomaszowi bok ci swój odsłoni,
I wszystkie rany zadane przez ciernie.
A kiedy skruchą oko się załzawi,
On za twym stołem biesiadnik usiędzie,
Chleb twój powszedni łamać z tobą będzie,
I pracy twojéj znój pobłogosławi;
Aż gdy nakoniec w ciemnym ziemi grobie
Złożą cię martwym pod krzyża podnóże,
On z krzyża tego skłoni się ku tobie,
I archanioła pokaże ci w górze.

(1) Ewan. Swiętego Łukasza Roz. XXIV.

Niedziele u Grzegorza.

IV.

(Patrz nr. 9 Czytelni z r. b.).

—

Kiedy się znowu w następną niedzielę zeszli znajomi do Grzegorza, zaczęła się ogólna rozmowa o ostatniej powieści przez niego opowiedzianej, za czem posypały się rozmaite uwagi, o owym starym wojaku Jędrzeju, co tak nieszczęśliwie skutkiem pijaństwa życie swoje zakończył.

— Dziwna to jednak, odezwał się Jakób Wierzba stolarz, szwagier Grzegorza, że wy mój bracie, coście jak wiemy, całą swoję młodość na wojaczce spędzili, żeście wy mówię, w trunku nie zasmakowali; boć to dobrze wiem, iż nic prócz piwa nie pijecie, kiedy inni wojacy, jak się to i z waszego opowiadania pokazuje, nie byli tak wstrzemięźliwi— toć nawet stare nasze przysłowie powiada: *dobrze pić, dobrze bić, to żołnierska rzecz.*

— Prawdę mówicie mój Jakóbie, odrzekł Grzegórz, że żołnierzowi to trudno nie zasmakować w trunku i nie pozwolić sobie półkwaterka albo i więcej dobrej wódki; boć ona ciało i umysł trudami zmęczony krzepi. Żaden też z nas, co prawda, za kołnierz jej nie wylewał, ale piliśmy z umiarkowaniem, tyle tylko, co zdrowie wymagało. *Stare wiarusy* nasze nie cierpieli pomiędzy sobą pijaków, gardzili nawet opiłym, gdy szli do bitwy; upojenie bowiem w takim razie przypisywali tchórzostwu. To też pijaków u nas prawie nie było, a jeżeli któremu zdarzyło się przebrać miarkę, to przyczupnął gdzie w kącie, żeby go koledzy nie widzieli, inaczéj byliby go palcami wytykali. Pili wprawdzie niektórzy dobrze, ale nigdy do tyla, żeby rozum stracić, a po wyjściu ze służby odznaczali się zawsze wzorową trzeźwością. Jędrzej, o którym wam mówiłem, stanowi pod tym względem wyjątek.

Zaszczytny tytuł *starego wiarusa*, nie lekko i łatwo przychodził—ażeby go uzyskać pomiędzy współtowarzyszami broni, oprócz odznaczenia się w boju odwagą i zimną krwią, musiał okazać pewną wyższość czyto siły fizycznej, czy zdolności wojennych, czy przytomności umysłu, czy wreszcie dowcipu. Każdy z takich przymiotów zyskiwał mu miłość i poszanowanie u współtowarzyszów, a gdy wspomniano go, zaraz

kolędzy odzywali się jednogłośnie: *to tęgi wiarus, to stara wiara*!

Nie idzie za tem, żeby stary wiarus był koniecznie starym co do wieku; wielu z nas młodych zaszczytny ten tytuł otrzymało, ja sam nie miałem więcej jak lat 25, kiedym go pozyskał. Ale nie o sobie zamierzyłem dzisiaj wam opowiedzieć, lecz o jednym z naszych *wiarusów*, co zimną krwią i dzielną odwagą nietylko miano to, lecz zarazem i szlify pozyskał, choć był tak jak i ja synem prostego kmiecia.

Trzeba wam wiedzieć, że wtedy mundur wojskowy równał wszystkie stany, a waleczność, odwaga i zdolności otwierały zarówno każdemu pole do wyższych stopni. To też odwaga nie była rzeczą rzadką tam, gdzie mógł każdy marzyć o godnościach i zaszczytach; tylko że niekażdego męztwo równie jaśnieć mogło, i trzeba było szczególnej okazyi, ażeby się ono uwydatniło. W tym samym właśnie pułku, w którym ja służyłem, był dzielny mazur, któremu się podobna okazya trafiła, w skutek której posunięty został zaraz na oficera, chociaż zaledwo wtedy podpisać się umiał. Wszakże mu tego żaden z nas nie zazdrościł, bo był to dobry kolega, serce w nim złote, a męztwo i odwaga prawdziwie lwie.

— Któż to był taki i gdzie to mu się taka dobra okazya zdarzyła? zapytał zaciekawiony organista, a obecni uciszywszy się, zbliżyli się do stołu, przy którym siedział stary Grzegórz, ten zaś odpowiedział.

Byłoto przy oblężeniu Gdańska r. 1807, gdzie się to kapitan naszej jazdy Sokolnicki taką walecznością odznaczył, że imię jego rozkazem dziennym Cesarza całej armii do wiadomości podanem zostało. Cesarz Napoleon po bitwie pod Jena, posunął się z wojskami swemi aż poza Wisłę i rozłożył je na zimowe leże w prowincyach dawnej Polski i prusach, poruczając Marszałkowi Lefebr zdobycie fortecy Gdańskiej, leżącej przy ujściu Wisły do morza Baltyckiego. W korpusie oblężniczym było nas około sześć tysięcy polaków, po większej części nowego zaciągu; wszystko młode chłopaki, sami prawie ochotnicy—ja sam wtedy zaledwo 19 lat skończyłem. W tym samym pułku był, jak wam mówiłem, młody mazur nazwiskiem *Komorek*, wszelako starszy kilku laty odemnie, który tak dzielnie bronią robić umiał, że go ztąd w pułku *fechmistrzem* przezwano.

Pod murami fortecy staczano codziennie zacięte boje, grzmiały działa, świszczały kule nad uszami, błyszczały bagnety, roiło się tysiącami żołnierstwo, a kochana nasza Wisła tocząc jak zawsze spokojne swe nurty, spłukiwała piasczyste swe brzegi, nasiąkłe krwią tak własnych swych synów, jak i obcych przelewaną od miesiąca w morderczej tej walce.

Oblężenie rozpoczęte w połowie miesiąca marca, posuwało się zwolna ale wytrwale; była już połowa kwietnia, a jeszcze niewiele postąpiły przykopy, bo też to była forteca nielada i silną obsadzona załogą. W pobliżu fortyfikacyj, przed któremi miały miejsce te krwawe zapasy, czerniał bór sosnowy, a nieco dalej wązka a kręta drożka wiodła do samotnej zagrody, stojącej wpośród niewielkiej doliny. Zagroda ta składała się z pochylonej wiekiem chaty, z napół rozwalonej stodółki, z obory i szopki świecącej łysiną, bo odartej z pokrywającego ją niegdyś słomianego dachu. W pośrodku oparkanionego podwórza rosło kilka grusz i jabłoni, których ogołoconemi z liści gałęziami wiatr poruszając, wydawał głuchy odgłos; wszystko naokoło i zagroda, i pola, i lasy, powleczone było barwą smutku i żałoby. I w chacie było smutno i głucho, mieszkańcy jéj wynieśli się spać wcześnie gdzieindziej, chroniąc życie swoje przed wojenną pożogą; pies tylko, ten wierny stróż domowy, pozostał na swem legowisku, skowycząc żałośnie z głodu i tęsknoty.

Mrok właśnie zapadł, kiedy wpośród szumu wiatru i plusku deszczu, dały się słyszeć raźne tony śpiewki mazurskiej i wkrótce na drodze wiodącej do zagrody ukazał się dorodny wojak, z pokrętnym wąsikiem, karabinem na ramieniu, z tornistrem na plecach, z swobodą na czole i piosnką na ustach. Byłto nasz Komorek, wysłany za furażem, bo w obozie nieraz głód się uczuć dawał, a polski żołądek głodu nie znosi.

Deszcz był ustał na chwilę i księżyc ukazywał czasami blade swoje oblicze zpoza chmur pędzonych wiatrem, rzucając niepewne światło na otaczające przedmioty, kiedy nasz wojak dochodził do wrót zagrody. Wtem z przeciwnej strony dał się słyszeć tętent koni; serce w piersi żołnierza silniej uderzyło, obejrzał co prędzej swój karabin, dobył nowych ładunków,

wbiegł na podwórze, zaparł wrota, zatoczył przed nie zpod szopy parę popsutych wozów i z nadstawionym bagnetem przyczaił się poza parkanem.

— Jakże mi serce bije ze strachu, zawołała 16 letnia Kasia, siostrzenica Grzegorza; pewnie tu przyjdzie do bitwy i może go zabiją.

— Bądź cierpliwą Kasiu i nie przerywaj, odrzekł Grzegorz, głaszcząc hożą dzieweczkę pod brodę, a dowiesz się prędzéj końca. Komorek nie wiedział, czy to swoi, czy obcy, przygotowanie więc do obrony poczynił na wszelki wypadek. Tak przyczajony, obaczył niezadługo przez szparę w parkanie, oddział nieprzyjacielskiej jazdy, z dwudziestu kilku ludzi złożony, który zatrzymawszy się opodal, wysłał dwóch jeźdźców na zwiady.

— Ah! mój Boże! cóż on przeciw takiej sile sam jeden pocznie? przerwała znowu Kasia, biedny Komorek!..

Grzegorz uśmiechnął się na ten nowy wykrzyk swej faworytki, a obecni powstrzymali prawie dech w sobie, ażeby nie stracić ani jednego słowa z opowiadania, stary zaś tak ciągnął dalej:

Jeźdzcy ci zeskoczywszy z koni przed wrotami, chcieli wejść na podwórze, gdy nagle wstrzymał ich odzew: *kto idzie*!?.. Dwa strzały były ich odpowiedzią, kule świsnęły ponad głową Komorka, który wychyliwszy się spiesznie poza parkan, dwukrotnem pchnięciem bagnetu położył trupem obu przeciwników; ale zaledwie miał czas zeskoczyć z parkanu i schronić się poza drzewa, gdy cały oddział puścił się pędem ku chacie. Komorek nie czekając nowej napaści, przymierzył karabin, dał ognia i zwalił z konia jednego znowu przeciwnika.

— A to mi chwat, zawołał kowal Młotkowski; lubię go za to, ciężko mu jednak będzie poradzić przeciwko dwudziestu samemu jednemu — ale ciągnijcie no dalej Grzegorzu, bo mnie ciekawość pali okrutnie, a tak to ślicznie i dokładnie opowiadacie, jakbyście byli na miejscu.

— Abo raz tam byłem, jak i inni jego towarzysze, ażeby zobaczyć ten plac tak zaszczytnej dla niego walki, odrzekł Grzegorz; i tyle razy rzecz tę opowiadaną to przez niego, to przez innych słyszałem, że ją mam w żywej pamięci.

Nieprzyjaciel strwożony utratą trzech ludzi, sądząc, że ma do czynienia z równą, a może i większą siłą, wahał się przez chwilę, co ma zrobić; księżyc, który dotąd przyświecał, zasnuł się chmurami i ciemność zaległa ziemię, tak, że o kilkanaście kroków nic widać nie było. Ciemność ta paraliżowała ruchy przeciwników, ale chęć zemsty przemogła, i dowódzca oddziału kazał wedrzeć się siłą na podwórze. Nowy atoli strzał powalił tego, co się zbyt śmiało posunął do wyłamywania wrotni. Żołnierze widocznie tracili serce i stanęli jak wryci, oczekując dalszych rozkazów. Komorek korzystając z chwili przerwy, przypełzał ku parkanowi i wcisnął się pomiędzy wozy zapierające wrota, gotując się do dalszej walki.

Słuchacze ścisnęli się jeszcze bardziej, Kasia zaś przytuliła się do ojca, a chociaż drżała z obawy, chwytała jednak każdy wyraz opowiadania, które ją nadzwyczaj zajęło. Stary rad z wrażenia, jakie uczynił, wychyliwszy duszkiem szklankę piwa, tak mówił dalej:

— Ognia! zakrzyknął dowódzca i kilkanaście kul puszczonych w kierunku poprzednich strzałów Komorka, przeleciało pomiędzy gałęziami jabłoni, lub utknęło w jéj pniu, poczem nastąpiła głucha cisza. W podwórzu podobnaż cisza panowała, żadnego strzału, żadnej odpowiedzi. Żołnierze zniecierpliwieni i rozjątrzeni tem pogardliwem milczeniem, zeskakują z koni; trzykrotne krzyk zagrzmiał w powietrzu i całą masą walą się we wrota. Nowy strzał, nowy trup; a wrota były silnie przyparte i wytrzymały pierwsze uderzenie. Zpoza wrot dzielna ręka wojaka, kierując zręcznie bagnetem, szerzyła zniszczenie pomiędzy napastnikami. Walka była krwawa, zacięta, mordercza; kilku rannych tarzało się w wilgotnym piasku, jęcząc żałośnie. Ale i Komorek upadać zaczął na siłach w nierównej téj walce; z kilku otrzymanych ran płynęła krew obficie, ból srogi krępował swobodę i siłę jego poruszeń. Żołnierze też nieprzyjacielscy spostrzegłszy się wreszcie, iż tylko z jednym walczą przeciwnikiem, pragnąc w krwi jego ugasić wstyd swój i pomścić śmierć poległych towarzyszy, podwoili swą natarczywość—jeżeli wszakże dzielne było natarcie, to opór jeszcze był dzielniejszy, a jakkolwiek Komorek widział, iż wkońcu w walce téj uledz musi przeważnej liczbie, to przynajmniej drogo przedać swe życie postanowił. Tem powodowany uczuciem, opierał się bohatersko—już blisko godzinę trwał ten bój zażarty, gdy nagle nieprzyjaciel odbiega

swej ofiary, siada na koń i niknie w ciemnościach nocy.

— Bogu dzięki! zawołała Kasia z radością. Komorek ocalony, Bogu dzięki! powtórzyli inni, podobnegoż doznając uczucia; Grzegorz zaś po chwili wytchnienia opowiadanie swe kończył w te słowa:

Oparty o słup, nawpół omdlały z wysilenia i upływu krwi, ale dzierżąc ciągle w dłoni dzielny swój karabin, patrzył Komorek zdziwionem okiem, na niepojętą dla niego ucieczkę wroga; łza wdzięczności zrosiła mu powieki, głębokie westchnienie wydobywające się z uciśnionej piersi uleciało dziękczynną modlitwą ku niebu. Zdrętwiałą ręką uniósł on karabin, tego przyjaciela obrońcę, i nieodstępnego towarzysza boju, włożył weń machinalnie nowy nabój i podsypał prochu na panewkę; machinalnie mówię, gdyż myśl jego ulatała wtedy gdzieindziej: bujała ona po mazowieckich piaskach, błąkała się po rodzinnych polach, zaglądała do ubogiej ojczystej chaty, w której pozostawił starą matkę. Cofnął on się myślą do chwili, w której błogosławiąc go z płaczem biedna kobieta, idącego na niepewne boje, zawiesiła mosiężny krzyżyk i poświęcone ręką starego proboszcza skaplerze na jego młodzieńczej piersi, aby go chroniły od wszelkiej przygody. Dumał dalej o przebytych bojach, w których Opatrzność widocznie czuwała nad nim, o świeżo odbytej nierównej walce, w której cudem ocalał — i spojrzał z wdzięcznością w niebo oświecone nanowo blaskiem księżyca, na gwiazdy i na cały świat boży; i witał go na nowo całem sercem, duszą całą, bo przed chwilą widząc przed sobą śmierć nieochybną, już się go więcej ujrzeć nie spodziewał.

Tymczasem drogą przerzynającą dolinę, zbliżał się świetny orszak wyższych oficerów francuzkich, a za nim szwadron szaserów. Byłto marszałek Lefebr ze swoim sztabem; objeżdżając on rozstawione w okolicy czaty, posłyszał strzały, i chcąc zbadać osobiście ich przyczynę, pospieszył na miejsce utarczki. Jego to ukazanie się spowodowało spieszną ucieczkę nieprzyjaciół.

Ale Komorek zatopiony w swych marzeniach, nie postrzegł wcale przybyłych. Stał on ciągle oparty o słup, patrząc nieruchomo przed siebie; i dopiero kiedy marszałek spostrzegłszy pięciu poległych i kilku rannych leżących na piasku, zawołał po francuzku: Kolego! widzę, żeście się chwacko bronili; ileż was tu jest i gdzie są twoi towarzysze — wtedy ocknął się dopiero Komorek, a ujrzawszy głównego dowódzcę, przyłożył rękę do kaszkieta i odparł, iż tylko ojczystym językiem mówić potrafi.

Na skinienie Lefebra jeden z jego adjutantów powtórzył popolsku zapytanie wodza.

— Ja sam tylko jestem, odrzekł zapytany; szedłem za furażem, napadło mię ze dwudziestu konnicy, toć się rad nierad, bronić musiałem.

— A jak się nazywasz? zagadnął znowu oficer.

— Komorek.

— Kiedy adjutant wytłumaczył odpowiedź Komorka, Lefebr nie mógł powstrzymać swego zdumienia nad tak bezprzykładną odwagą, i wszyscy z uwielbieniem i współczuciem spojrzeli na mężnego żołnierza.

— Będę pamiętał o tobie, ozwał się wreszcie marszałek, podając rękę Komorkowi; lecz widzę, żeś mocno ranny i osłabiony.

To rzekłszy, obrócił się do jednego z adjutantów i polecił mu staranie tak o Komorku, jak i rannych nieprzyjaciołach; sam zaś ze sztabem i częścią szwadronu spiesznie oddalił się drogą wiodącą ku Gdańskowi.

— No i cóż? zawołali obecni, dotrzymałże marszałek swego przyrzeczenia?

Nie inaczej, odrzekł Grzegórz, bo był to człowiek, który nadewszystko cenił odwagę, sam przez nią dobiwszy się z prostego żołnierza, buławy marszałkowskiej — we trzy czy cztery tygodnie Komorek w nagrodę swego męztwa otrzymał stopień podporucznika.

— I cóż się z nim stało, zapytał Wierzba?

— A cóż, najtrudniej było otrzymać pierwszy stopień oficerski, potem szło już jak z płatka. Przez kilka lat bojów Komorek odznaczył się niejednokrotnie w szeregach walecznych naszych współziomków, i przy końcu kampanii austryackiéj dosłużył się stopnia kapitana, a prawem zawsze postępowaniem, jak i niezłomnem męztwem zjednał sobie ogólny szacunek kolegów. Sam książę Józef (Poniatowski) znał go osobiście i bardzo poważał.

— A jakże też okazywał się potem dla dawnych towarzyszy? zapytał organista.

Nasza *stara wiara* zawsze była jednaką, odrzekł Grzegórz — znałem niejednego z nich, co się dosłużył nawet buljonów, a dlatego żaden z nich nie wstydził się swego pochodzenia, co im

chlubę przynosi. I nasz też Komorek nie był wcale dumniejszym, i z równą zawsze przyjaźnią i życzliwością obchodził się z dawnymi swymi towarzyszami, choć pierś ich krył mundur prostego żołnierza; pamiętał on zawsze, że z kmiecego wyszedł stanu, czego nawet publiczny dał dowód.

— Opowiedzże nam jeszcze o tem wujaszku! zawołała Kasia.

Po kampanii austryackiéj nastał był krótko trwały pokój; wojska nasze zostały rozmieszczone po całym kraju, używając chwilowego wypoczynku po trudach wojennych — kilka pułków, a między niemi i nasz, w którym Komorek był kapitanem ściągnęły do stolicy; ale nam książę zasypiać nie dawał. Na placu musztry codziennie prawie odbywały się wystąpienia i parady: przesuwały się brodate sapery z toporami w ręku, grenadjery w ogromnych bermycach, lśniło żołnierstwo złocistemi szlifami, a tłumy ludu przypatrywały się ciekawie niezwykłemu widokowi.

Otóż na jednem z owych wystąpień zyskała ogólne pochwały, tak z wzorowego porządku, jak ze ścisłości obrotów, kompanja dowodzona przez kapitana Komorka. Książę Józef nie mogąc ukryć swéj radości, podziękowawszy wszyskim oficerom, wziął Komorka pod rękę, i rzekł mu, a wiem to od niego samego: Panie kapitanie! oddawna już swojem honorowem postępowaniem zyskałeś mój szacunek i przyjaźń, oddawna też chciałem ci powiedzieć to, co dziś usłyszysz; na polu walki dosłużyłeś się stopnia kapitana, odniosłeś kilka blizn zaszczytny, ch otrzymałeś krzyż legii. Dla mnie, dla tych, co cię bliżéj znają, to dosyć, aby cię kochać i poważać, ale dla świata to niedosyć; bo świat hołduje częstokroć nie zasłudze i cnocie, ale czczym uprzedzeniom majątku lub urodzenia, a na tem ci właśnie zbywa. Familia twoja biedna i nieznana; przyjm więc odemnie radę, jak od przyjaciela: porzuć rodzinne nazwisko, przezwij się Komorowskim, a ja ci wyrobię szlachectwo.

—Nie, mości książę! odparł żywo Komorek— nigdy się nie rozstanę z nazwiskiem, które na świat z sobą przyniosłem, bo nie chcę, aby się tem szczycił Komorowski, na co sobie Komorek zasłużył.

Ujęty i rozrzewniony tą szlachetną odpowiedzią książę, uścisnął przyjacielsko dłoń Komorka, i zaraz opowiedział o tem przytomnym oficerom, którzy za czyn ten więcéj niż kiedykolwiek poważali odtąd walecznego i prawego wojaka. Podkomendni jego i dawni towarzysze, dowiedziawszy się o tem, nie znali granic w swem przywiązaniu do niego, za to, że się ich nie wyparł; każdy z nas byłby za niego w ogień skoczył.

W całéj Warszawie długo o niczem nie mówiono, tylko o Komorku. Słowa jego przechodziły z ust do ust, a każdy wielbił jego prawość, skromność i bezinteresowność. A tak, zasługa i szlachetność charakteru Komorka znalazły poklask i nagrodę w sercu wodza i w sercach współbraci.

Oby przykład ten, mówił daléj Grzegórz, był nauką dla tych, co doszedłszy jakiegobądź stopnia, wstydzą się swéj ubogiéj rodziny i zapierają swego pochodzenia, nie wiedząc, iż najwyższym zaszczytem jest właśnie ta wyższość moralna, która podobnego zaparcia się nie dopuszcza.

Ale już będzie około dziewiątéj, rzekł wstając z ławy, czas udać się na spoczynek, ażeby być rzeźwiejszym do jutrzejszych zatrudnień. Po tych słowach obecni podziękowawszy gospodarzowi za udzielenie tych zajmujących wypadków, rozeszli się do domów, zamawiając sobie jego dobre chęci na przyszłą znowu, da Bóg doczekać, niedzielę.

Hygiena popularna.

(Patrz nr. 13 Czytelni z r. b.)

—

b. Pokarmy mięsne.

Mięso jest zdrowe i posilne, ale z bydła zdrowego, zabitego nie zdechłego lub dobitego; powinno być świeże, nie cuchnące, dobrze nasolone i ugotowane lub upieczone, inaczéj staje się trucizną. Mięso ze zwierząt chorych, rozmaite choroby, a nawet zaraźliwe sprowadza. Są przykłady, iż ludzie, którzy z takich zwierząt skóry zdejmowali, zarażeni czarną krostą, czasem w przeciągu 24 godzin umierali; dlatego jak tylko się pomiarkuje, że bydło zaczyna chorować, należy zaraz dać znać o tem do dworu; inaczéj bowiem straciłoby się resztę dobytku i własne zdrowie, a nawet życie naraziłoby się na niebezpieczeństwo.

Mimo to jednakże są ludzie tak niemożni, albo skąpi i chciwi, że mięso z chorego i dobitego bydła nietylko sprzedają innym, ale i sami

jedzą; co jest wielkim grzechem i niegodziwością, gdyż jedzących takie mięso na niezawodną chorobę, a częstokroć i na śmierć narażają, a nadto rozszerzają zarazę na całą okolicę.

Żeby więc przez niewiadomość nie sprowadzić takiego nieszczęścia, winniście nauczyć się poznawać, które bydlę jest zdrowe, a po zarznięciu, czy bez obawy z niego mięso jeść można, ku czemu posłużą wam następujące wskazówki. Bydlę zdrowe ma wzrok żywy, jest żwawe, chodzi bez ociężałości i przeżuwa; rogi, uszy, nozdrze i ogon ma zimne, nie ślini się i nie idzie mu żadna materya nosem, uszami lub oczami; skórę ma czystą bez łuszczek, strupów lub krost, szczególniéj na głowie, szyi, pysku, lub języku; szyja, tył lub przodek łopatek, zadnie ćwiartki zdrowego bydlęcia nie są nabrzmiałe, a wymiona u krowy ani gorące ani opiekłe. Jeżeli bydlę te wszystkie oznaki zdrowia mieć będzie, bez obawy na rzeź przeznaczone być może.

Gdyby wszakże zachodziła jaka wątpliwość, natenczas po zabiciu i zdjęciu skóry, wstrzymać się trzeba z otwarciem bydlęcia, aż ostygnie. Poczem uważać należy, czyli na mięsie nie znajdują się jakie krosty, narośle, nabrzmiałości, wrzody lub wyrostki, których kolor bywa zwykle siny lub czarny, czyli płuca nie są przyrosłe do błony piersiowéj, czyli w nich nie ma śladów ropienia, lub plam ciemno-czerwonych, błękitnych albo żółtych, twardości lub wrzodów, czyli wątroba nie jest nadzwyczjj wielka, twarda i czy ma kolor zwyczajny, czyli pęcherz żółciowy nie jest zbyt wielki i żółcią przepełniony; nareszcie czy śledziona nie jest czarna, za wielka i krostami okryta, a nadto czyli żołądki, a osobliwie tysiącznik i czepiec nie są zbyt wielkie, czerwone, sine i twarde, czyli w nich niema jakiéj masy wapiennéj, a mięso czy nierna gdzieniegdzie plam innych. Mięsa z takiemi oznakami, bez narażenia zdrowia jeść nie można.

Jeżeli bydlę nie miało gorączki, chociaż znajdzie się u niego w płucach, lub na wątrobie albo w mięsie jaka narośl, któraby nie była ani cuchnąca ani sina lub czarna, a przytem postrzegać się dają znaki zdrowego bydlęcia, to mięso jego bez niebezpieczeństwa jeść można—podobnież jeść można mięso owiec, które chorowały na zawrot głowy (kołowaciznę), jeżeli ta pochodziła od robaków w mózgu; lecz jeżeli zawrot powstał z innéj niewiadoméj przyczyny, lub jeżeli owca chorowała na biegunkę, wodną puchlinę brzucha lub piersi, mięso jéj nie powinno być na pokarm używane.

Wieprze, ponieważ najwięcéj latem podlegają różnym chorobom, strzedz się więc trzeba bić je w téj porze. Wreszcie z ich mięsem zachować trzeba te same ostrożności, jak z mięsem bydlęcem.

WIADOMOŚCI DOTYCZĄCE LEGATU

Ś. P. WAWRZYŃCA-JÓZEFA ZACHARKIEWICZA,

Członka Warszawskich Depart. Rządzącego Senatu

Z akt Magistratu wyczerpnięte.

—

S. p. Zacharkiewicz (jak to już opisano w nr. 8 Czytelni r. b.) w testamencie własnoręcznym z dnia 8 (20) grudnia 1848 roku, przeznaczył legat summę rs. 5400 na posessyi nro 1778*B* w Warszawie z procentem 5§ lokowaną, na coroczne nagrody z procentu od téj summy rs. 270 wynoszącego rozdawać się mające, dla sług w Warszawie wyznania chrześciańskiego, odznaczających się moralnością, przywiązaniem do swych państwa i długoletnią na jednem miejscu bez przerwy służbą. Nagrody te rozdzielił na trzy stopnie, to jest: 1sza rs. 150 za lat 20 służby—2ga rs. 75 za lat 15 służby—3cia rs. 45 za lat 10 służby, trzem sługom corocznie, jednego roku płci żeńskiéj, drugiego płci mężkiéj wypłacać się mające, w dzień Sgo Józefa.

Po śmierci ś. p. Zacharkiewicza w dniu 14 (26) marca 1849 r. nastąpionej i po przeprowadzeniu wszelkich formalności dla uregulowania i zabezpieczenia legatu, nagrody rozdane zostały:

Pierwszy raz w roku 1851 dla sług płci żeńskiéj, które otrzymały:

a. Maryanna z Wargockich Szóstakowska, służąca u Wéj Tekli Niewiadomskiéj, nagrodę 1szą za lat 28 służby, rs. 150.

b. Tekla Dejkowna służąca u JW. Supersohna, nagrodę 2gą za lat 17 służby, rs. 75.

c. Elżbieta z Dąbrowskich Wnorowska służąca u Wgo Janickiego, nagrodę 3cią za lat 11 służby, rs. 45.

Drugi raz w roku 1852 z powodu uzbierania się funduszu z lat poprzednich i uwolnienia legatu od stępla Kontrolli Skarbowej do summy wyrównywającéj dwuletniemu procentowi, na-

grody rozdane zostały z dwóch kolei, to jest dla sług płci męzkiej i dla sług płci żeńskiéj.

Nagrody te otrzymali, jako to:

Słudzy płci męzkiéj:

a. Piotr Aleksandrowicz lokaj u JW. Gruszeckiego Sędziego Apellacyjnego, za lat 40 służby, w ilości rs. 150.

b. Jan Grabowski lokaj u JW. Radcy Stanu Rejnhardta Członka Rady Lekarskiéj, za 19 lat służby, w ilości rs. 75.

c. Jan Jankowski lokaj u Wgo Popławskiego emeryta za lat 14 służby, w ilości rs. 45.

Sługi płci żeńskiéj:

a. Bibianna Zmudzińska u Wéj Rzewuskiéj za lat 29 służby, w ilości rs. 150.

b. Maryanna Zaleska u Wgo Andrzeja Zieglera za lat 16 służby, w ilości rs. 75.

c. Katarzyna Smolińska v. Smolarek u Wgo Pawła Czarkowskiego urzędnika Najwyższej Izby Obrachunkowej za lat 14 służby, w ilości rs. 45.

Trzeci raz w roku 1853 dla sług płci męzkiej—otrzymali następujący:

a. Kazimierz Plewa v. Plewiński u Wgo Wacława Łuszczewskiego, za lat 38 służby, w ilości rs. 150.

b. Walenty Pęconek v. Pęczynek u JW. Gabryelli Zabiełłowej, za lat 19 służby, w ilości rs. 75.

c. Maciej Kosiński u JW. ks. Dekerta Archidyakona, za lat 12 służby, w ilości rs. 45.

Czwarty raz w roku 1854 dla sług płci żeńskiéj—otrzymały następujące:

a. Katarzyna Bielińska u Wgo Lipkau, za lat 30 służby, w ilości rs. 150.

b. Franciszka Buczek u pana Błażeja Michałowskiego majstra profesyi szewckiéj, za lat 19 służby, w ilości rs. 75.

c. Wiktorya Kamińska u Wéj Bieńkowskiéj za lat 14 służby, w ilości rs. 45.

Piąty raz w roku 1855 dla sług płci męzkiej—otrzymali następujący:

a. Wojciech Bartmański u JW. hr. Łubieńskiego, za lat 39 służby, w ilości rs. 150.

b. Stanisław Hilchen u Wgo Józefa Köhler, za lat 19 służby, w ilości rs. 75.

c. Andrzej Sztygler u Wgo Radcy Kollegialnego Bielajewa, za lat 14 służby, w ilości rs. 45.

Szósty raz w roku 1856 dla sług płci żeńskiéj—otrzymały następujące:

a. Katarzyna Brzezińska u Wéj Anny Janasch właścicielki domu nru 440, za lat 27 służby, w ilości rs. 150.

b. Katarzyna Smolińska u Wgo Czarkowskiego, (taż sama, która otrzymała w r. 1852 nagrodę 3° stopnia), za lat 18 służby, rs. 75.

c. Zuzanna Fitkau u JW. Rzeczywistego Radcy Stanu Hoffmann, za lat 14 służby, rs. 45.

Siódmy raz w roku 1857 dla sług płci męzkiej— otrzymali następujący:

a. Franciszek Kurta u JW. Tajnego Radcy Badeniego, za lat 30 służby, w ilości rs. 150.

b. Maciej Kosiński u JW. ks. Dekerta, (ten sam, który otrzymał w r. 1853. nagrodę 3° stopnia) za lat 17 służby, w ilości rs. 75.

c. Antoni Szumiński u JW. Stanisława Kosseckiego, za lat 14 służby, w ilości rs. 45.

Ósmy raz w roku 1858 dla sług płci żeńskiéj—otrzymały:

a. Ludwika Komorowska, u Wgo Drążewskiego, właściciela domu nru 2480, za lat 28 miesięcy 11 i dni 8 służby, w ilości rs. 150.

b. Rozalia Sabatowska u p. Froniek, za lat 19 miesięcy 2 i dni 10 służby, w ilości rs. 75.

c. Agnieszka Rykalska u Wgo Słupeckiego, za lat 14, miesięcy 9 i dni 6 służby, w ilości rs. 45.

—

Objaśnia się, że ze sług płci męzkiej tylko lokaje, a ze sług płci żeńskiéj, tylko kucharki i tak zwane sługi do wszystkiego, do nagród w mowie będących kwalifikowały się.

Przypowieści.

1. Nie to chwal, co kochasz, ale to kochaj, co chwały jest godne.
2. Gdy co źle robisz, myśl o polepszeniu, a raczej na siebie się gniewaj, niż na tego, co przygania.
3. Niekarność złego, wabi dobrego do grzechu. Szkodzi dobrym, kto złym przepuszcza.

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 17 (29) marca 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*